

WYCIECZKA z Horstem

Horst świetnie prowadził swojego wartburga. Odrywałem raz po raz wzrok od zieleni, by spojrzeć na jego profil. Na podłużnej, szlachetnej twarzy panował spokój. Skupienie nie pozabawiało jej pogody. Gdy brał na dużej szybkości tak częste w mazurskim krajobrazie zakręty — lekki grymas w okolicy ust przypominał uśmiezek zadowolenia.

Drogowskaz informował: Ostróda 14 km. Pozostało nam jeszcze około dwudziestu kilometrów, wieś bowiem do której jechaliśmy, leżała niedaleko za Ostródą.

Wiozłem Horsta do rodzinnych stron jego żony. On sam pochodził z Magdeburga, ale żona jako dziecko wywędrowała wraz z rodzicami z Ostródy do Niemiec tuż przed zakończeniem wojny. Poznali się i pobrali w Lipsku, gdzie do dziś mieszkają.

— Ty wiesz — powiedział, gdyśmy minęli

drogowskaz — że przeżywam coś w rodzaju tremy. Wyobraź sobie, zobaczę przecież ludzi, którzy znali Martę od kołyski. Ale czy jesteś pewien, że jeszcze takich znajde?

— Bądź spokojny — zapewniłem go. — Znam tę wieś.

— Marta wspomina ją w każdej urodziny. To musi być ładna okolica. Ile Marta miała wtedy lat? Siedem.

— A ty swoją drogą jesteś w niej wciąż jeszcze zakochany, jak narzeczony.

— Treu sein, treu sein, treu sein muss ein Mann — zaśpiewał nieco chrapliwym barytonem.

Lubiłem go. Poznaliśmy się w Kudowie na tygodniowym sympozjum międzynarodowym. Rozmawiałem z nim dużo raczej dla przypomnienia sobie języka niemieckiego niż z jakiejś innej potrzeby. Na pożegnalnym bankiecie wypiliśmy kilka wódek, potem bruderschaft. Oczywiście, na odjezdnym zapraszaliśmy się nawzajem i ja, jako pierwszy skorzystałem z jego zaproszenia, by spędzić w Lipsku całe dwa tygodnie. Marta była równie miła jak on. Pochodziła ze zniemczonej rodziny, nazywała się z domu Zaremba, ale nie umiała ani słowa po polsku. Rodzice już nie żyli, rodzeństwa nie miała. Zapraszałem do Polski ich obojga, ale Marta nie chciała pozostawić w Lipsku samych

